



INSTITUTE  
OF LIBRARY AND DOCUMENTATION  
SERVICES  
1000 W. UNIVERSITY AVENUE  
ANN ARBOR, MICHIGAN 48106-1500  
USA



F 7114



# Najnowsza powieść Henryka Sienkiewicza.

Nie dla jednego tylko powodu jest „Bez dogmatu“ wypadkiem w literaturze naszej, nie tylko jako większy utwór Henryka Sienkiewicza, ale jako utwór odmienny, oznaczający może punkt zwrotny w jego działalności. Byli między najgorętszymi wielbicielami jego talentu i tacy, którzy żalowali, że autor „Szkiców węglem“ i „Laternika“ opuścił maluczkich i powszednich swoich bohaterów dla wspanialszych a dalekich historycznych postaci. Zdawało się niejednemu czytelnikowi, że stała się tém krzywda codziennym i obecnym biedom, że boleści dnia dzisiejszego nikt już tak serdecznie na światło nie dobędzie. Mawiali przytém mniej chętni — a nie potrzebujemy się z ust Śniatyńskiego dowiadywać, że niechęć idzie w ślad za każdym wybitniejszym talentem — mawiali, że nikt nie pójdzie sprawdzać, o ile są rzeczywistymi Kmicic i Zagłoba, że żadna nas siła w wiek XVII nie przeniesie i że usuwać w dal swoje postacie jest to poniekąd usuwać się od trudności samemu. I doprawdy nie tylko niezycliwym przychodziło na myśl, że jest i w dzisiejszym życiu dość pytań, dość postaci, dość dramatów, ażeby ku nim zwrócić i oczy, i duszę. Życzono sobie przytém nowego dowodu wszechstronności Sienkiewicza. Wróżyła mu niegdyś krytyka, że wyjść nie zdoła po za drobne rozmiary pierwszych swych opowieści: odpowiedział jój, pisząc „Ogniem i mieczem“. Czekano, aby wobec zarzutów, że fantastyczne tylko kreśli postacie, dał jakie dzieło, pełne obserwacji.



Okazywał się rzeczywiście dotychczas nowellistą i historycznym powieściopisarzem, t. j. ostatecznie poetą. „Bo czemuż jest nowella — mówił do Eckermanna Goethe — jeżeli nie opowieścią nadzwyczajnego zdarzenia?“ W szczupłych jej ramach nie można objąć wielkiego zakresu rzeczywistości, a trzeba równocześnie dać całość poruszającą i skończoną. Życie, rzeczywiste życie, jest raczej pretekstem, niż przedmiotem nowellisty; nie chodzi mu tyle o odtworzenie świata, jak o indywidualne jego pojęcie. Powieść zaś historyczna, zwłaszcza takiego jak u Sienkiewicza zakroju, mająca tyle tła i pejzażu, jest już niemal epopeją. Na wieść o współczesnej powieści, którą autor „Potopu“ pisać zamierzał, pytano się zatem, czy posiada ten poeta dość obiektywizmu i dość wytrwałej obserwacji, aby roztoczyć duży a żywy obraz istniejących stosunków, obraz, któryby w każdej chwili z rzeczywistością zestawić było można. Czy język poety nagnie się do wymagań subtelnej analizy; czy mowa polska, tak wyrobiona w podniosłym i bohaterskim kierunku, nabierze pod piórem jednego z wielkich swoich mistrzów dostatecznej giętkości i precyzji, aby zawikłane i różnorodne sprawy nowoczesnego naszego świata oddawać? A że po za ciekawością towarzyszy wogóle zamiarom Sienkiewicza ogromna w zdolność jego wiara, czekało wielu pośród nas — a wyznaję, że i ja do nich należałem — powieści współczesnej, może obracającej się w wykwintniejszych naszych sferach, powieści w każdym razie raczej prawdziwej i subtelnej, niż „pięknej“, raczej wystudowanej, niż natchnionej. I chociaż nie jest nikt bezkarnie poetą, doczekaliśmy się niepospolitego w tym kierunku dzieła.

Sam ten fakt ma już ogromną doniosłość. Jeżeli „Bez dogmatu“ nie odpowiedziało może wszystkim wymaganiom, które ideałowi naszej współczesnej powieści stawiamy, to najzagorzalszy wróg katalogowania dzieł sztuki, według subiektywnej bądź co bądź skali, nie odmówi temu utworowi wyjątkowego w literaturze naszej stanowiska. Ale jest i druga przyczyna, że powieść tę nową z osobliwszém witamy uczuciem. Oto zmieniło się koło czytelników, do których Sienkiewicz się zwraca. Umiejąc zawsze pozostać artystą niezwykłej subtelności, przemawiał on dotąd do wyobraźni i poczucia wszystkich niemal sfer społecznych. W ostatniem swém dziele zdaje się mieć na oku szcuplejsze koło i bardziej wytworne. Książka jego jest jednym z rzadkich u nas objawów owego piśmiennictwa, które Francuzi zowią *littérature artiste*. Subtelniejsza i specjalniejsza od poprzednich, może ona wywrzeć zupełne wrażenie tylko wśród warstw bardziej rafinowanych, zdolnych odczuć delikatną analizę i analizujących się nawet do głębi. Od czasu do czasu tylko odzywa się autor, przywykły do powszechnego wśród publiczności oddźwięku, i dodaje



kilka wyraźniejszych odcieni, robiąc pewne drobne szerokim kołom ustępstwa. Pomimo tój wyłączności, może jednak liczyć na ogromny szereg czytelników. Nie jest to pocieszającym, lecz jest podobno niewątpliwym faktem, że liczba natur, przypominających Płoszowskiego w ten lub ów sposób, zwiększa się u nas codziennie. Bez tego ani-by ta książka nie była potrzebną, ani-by nawet pod piórem czułego na społeczne objawy pisarza nie była powstała. „I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokrację rodu lub pieniędzy — pisze bohater Sienkiewicza w swym dzienniku — zjawisko nie byłoby zbyt ważnem. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka“. Trzeba i dla tych ludzi coś zrobić. Zapalną ich wyobraźnię i tak zapalne na krótki czas serce zajmuje ów Podbipięta, rycerz silny a czysty, ale dowodzi im dopiero czegoś — o ile książka dowieść może — los współczesnego, bliższego im Leona, chorego, jak wielka ich część, i nauczającego ich swoim przykładem. Oni nie mają, niestety, ani tego ramienia, zdolnego uciąć głowy trzem pohańcom, ani tój duszy prostej, niezmaconej i stałej. Więc skłonni są do czytania dziejów Podbipięty, jako pięknej, od życia oderwanej legendy. Chory Płoszowski przyjdzie natomiast do swoich i swoi go poznają. Prawda, że zdrowi podniosą może okrzyk na widok tego człowieka, dotkniętego zakaźną chorobą. Przypatruję się wobec takich okrzyków temu, co u nas czytają, i widzę, że młodzież i kobiety, t. j. właśnie ci czytelnicy, którzy najłatwiej wpływom uledez mogą, znają dokładnie stan duszy i dzieje osób innej, zupełnie innej moralnej wartości, postaci, stwarzanych umiejętnie przez obcych pisarzy. Gdzie nie dochodzą tomiki oryginalne, w żółty papier oprawne, tam spotykam drukowane na bibule przekłady. Wobec tego czuję w krzykach oburzenia dużo świadomej lub nieświadomej hipokryzyi. Jest jednak i tyle nieporozumienia, że zbiera ochota wdać się w tę sprawę i starać się ją wyjaśnić. Artyści zarzucają krytyce zbyt często, że stawia tylko mury między publicznością a nimi; a jednak minęły czasy, kiedy ogłaszała ze swój stolicy bezwzględne wyroki, i dziś nie wierzy ona sama w doniosłość swego powołania. Niechaj wolno będzie się pokusić o skierowanie jój raz jeszcze ku najszlachetniejszemu z jój zadań; niech się odważy zająć stanowisko pośrednika między wielkim pisarzem a szeroką publicznością.



## I.

Jest to charakterystyczną dzieł Henryka Sienkiewicza zaletą, że stają się one odrazu zupełną własnością społeczeństwa i, jako takie, podlegają, nietylko w pismach i dziennikach, ale i w życiu prywatnym, nieustannym roztrząsaniom i dyskusjom. Każdy ma u nas niejako prawo do Sienkiewicza. Pisarz, który nas do tego przyzwyczaił, że się nim ogół rozkoszuje i zachwyca, musi każde indywiduum z osobna zadowolnić. Tak-to się podziw i sławę oplaca. Wszystkie wyższe talenta wprawiają czytelnika w złudzenie, że on-to dopiero myśl autora prawdziwie zgłębił i rozumie. Ponieważ mamy tu prawo spodziewać się jeszcze dzieł niepospolitych, pragnąłby niejeden czytelnik, aby Sienkiewicz po jego myśli talent swój zużytkował. Pisywał on dotychczas „dla pokrzepienia serca“, a daje teraz postaci chore i fałbulę niemoralną. Dziennika, w którym wychodziła ostatnia jego powieść, nie mogli czasami ojcowie rodzin pozostawiać na stole.

I rzeczywiście, nie jest „Bez dogmatu“ dla wszystkich warstw i osób wszelkiego wieku właściwą lekturą. Dziś leży jednak utwór w trzech tomach przed nami i zarzut utracił chwilową swą doniosłość. Bo nie będąc dla wszystkich odpowiednią, może być książka tém skuteczniejszą dla wielu. I nie pokrzepiając serc, może jednak sumienia oświecać. Wiem dobrze, iż ten i ów zgorszył się powieścią, sądząc, że jeżeli Sienkiewicz poświęca tyle pracy charakterowi Płoszowskiego, to chce zapewne idealizować chorą jego naturę. Miałby on może śliczny temat do nowej powiastki we wszystkich tych dowodach niezrozumienia, gdyby go talent nie wiódł ku wyższym zagadnieniom i objawom. Wyzyskałby to jaki pisarz w rodzaju Gustawa Flaubert, owego malarza prowincjonalnych zakątków i zbieracza ludzkich śmiechów, którego Jerzy Brandes raczej imbecylistą, niż realistą, nazywa. Bo znaczenie i pojęcie literatury powieściowej zmieniło się z gruntu w ostatnich lat dziesiątkach, i kto wie, jak tenże Brandes powiada, czy nie wypadnie nawet wyrazu „powieść“ jakim innym zastąpić. W belletrystyce szukają czytelnicy po wsze czasy rozszerzenia swego widnokągu, wrażeń, których im szczupły zakres własnego życia nie daje. Ale kiedy Emma Bovary, wyhodowana jeszcze na romantyzmie, chciała przedewszystkiém czuć więcej, niż na to jéj egzystencya pozwalała, żyć więcej sercem, wyobraźnią może i zmysłami; to my, dzieci chłodniejszej i bardziej umysłowej epoki, pragniemy raczej *wiedzieć*, co się w innych duszach dzieje, szukamy nie tyle przejmujących uczuć, co poczuć subtelnych. Wyrażenie „bohater



powieści“, dla oznaczenia głównej działającej osoby, jest dawnych, daleko sięgających czasów, spuścizną, dzisiejszy wyraz brzmiałby zupełnie inaczej i byłby najpewniej zapożyczony z naukowego języka. Codzienna mowa określiła zresztą najlepiej stanowisko nasze wobec uczuciowej powieści, nazywając wszelkie, napotykanie nie tylko w książkach, ale i w życiu, sentymtalne brednie romansami. Panuje dziś na ich miejscu studjum psychologiczne. Wobec naukowych pretensyi całej téj literatury wystąpiły stany chorobliwe na pierwszy plan, nie tylko jako ciekawsze, ale i jako ważniejsze. Znam tyle medycznych książek o chorobach, ale nie wiem, czy istnieje monografia, określająca zdrowie. A dzisiejsza literatura — nie mówię o rezultatach, ale o zamiarach — chce naśladować metodę naukową i ufa czasem, że do jej wyników się zbliży.

Dziwno mi, że objaśniam takie stare dzieje. Jak to jednak i Płoszowski uważa, jest u nas tyle odrębnych kierunków i pojęć, tyle nowoczesnego pojmowania życia i tyle z drugiej strony umysłowych nawyknień, że, chcąc mówić o dziele tego rodzaju i znaczenia, co „Bez dogmatu“, potrzeba zaznaczyć stanowisko, z którego się wychodzi i które się poniekąd za stanowisko samego autora uważa.

Mamy tu oczywiście objaw choroby, nie nieuleczalnej może, ale tak zaniedbanej, że musiała się katastrofą zakończyć. Nie wdając się chwilowo w przyczyny groźnego stanu, zwrócę tylko uwagę na niektóre strony natury Płoszowskiego i na niektóre szczegóły w przebiegu jego dziejów. Jest to człowiek chory na „nieudolność życiową“, natura w gruncie szlachetna i tém smutniejsza w upadku. Psychofizyologowie tłómaczą wolę, jako rozwiniętą i skomplikowaną formę odruchu, niby odpowiedź jednostki na wrażenia świata zewnętrznego. Otóż Płoszowski ma percepcyą tych wrażeń, ma ich zupełną świadomość. Odczuwa mnóstwo odcieni, z których sobie mniej wytworna natura nie tylko sprawy zdać nie może, ale ich wprost nie doznaje. Nie ma natomiast prawie wcale owego odruchu, owego czynnego wystąpienia wobec otaczającego go koła zjawisk, ma co najwyżej porywy w tym kierunku, przelotne zapęły i chęci, nie posiada zaś wcale owęj stałej, przewodniej i rozumnej w skutkach swoich siły, którą w codziennem życiu nazywamy wolą. Gubi się on w różnorodności swych wrażeń, bo skala ich jest tém większą, że niepospolita inteligencya, zmysł estetyczny, wielkie odczytanie rozszerzyły jego horyzont, a z praw dziedziczności, z wychowania i z kolei życia musiał być wrażliwym. Porównywa się on sam do zamykającej swe liście za lada dotknięciem mimozy. I przez ciekawą łączność zjawisk miewa on téjże mimozy nieubłaganą krwiożerczość, kiedy znudzony, doprowadzony do rozpaczycy chaotycznością swych wrażeń, chce indywi-



dualność swoją wyraźnym faktem zaznaczyć. Niéma nic brutalniejszego nad niezgodne z sobą i wahadłowe natury: „słaby tylko rzeź wybiera”. W gonitwie za ustaleniem wrażenia, nie pyta on o zwykłą delikatność swych uczuć i poświęci wszystko dla chwili, nie z uczuciem Horacego, który każe z dnia korzystać i gotów może potem skutki swoich uniesień opłacić, ale z gorączką natury, szukającą niezbędnych jej poczuć nowych. Może on wziąć wtedy szal zmysłów za uczucie, a wyobraźni ma dosyć, aby jak Laura siebie samą, tak on swą miłość ubierać w słońce, poezję i sztukę. Ale zna życie zbyt dobrze, aby już wśród zapału gorycz rozczarowania przeczuwać, a posiada naturę zbyt rafinowaną i szlachetną zarazem, aby uciec od boleści, następstw swego postępowania. Owszem skacze on, przymrużywszy oczy, jak nurek, w samą otchłań udręczeń. Czasami wobec rzeczywistego i głębokiego cierpienia doznaje on jakby potrzeby, moralnego przymusu, oddania się zupełnie goryczy, ma jakby punkt honoru w wyczuwaniu wszystkich swych boleści. Przytém szlachetniejsza to doprawdy istota, a zarazem syn narodu, o którym mówił kaznodzieja, że kobiety są w nim mądre a mężowie czuli, stary zaś książe Metternich powtarzał, że więcej od innych społeczeństw wydaje rokujących świetne nadzieje młodzieńców. Jeżeli wyrobienie i wydelikacenie uczucia dostarcza mu coraz nowych przedmiotów boleści, to zdwaja ją jeszcze świadomość choroby moralnej. Auskultuje się on nieustannie i rzuca raz wraz, jak z lekarskiej lampy, promyczek światła do wnętrza ran własnych, zajęty wiecznie dyagnozą, a z góry wierzący w możliwość ozdrowienia. Bo wyniki swoich analiz uważa on znowu za przedmiot analizy i zachowuje się tak sceptycznie wobec własnej niewiary, że już nie pyta nawet, gdzie jest prawda? Dla człowieka, oplątanego w taką sieć zwątpień, wplecionego w koło takich męczarni, niéma już rady, ni ratunku. Życia już nie może rozpocząć na nowo, ani go zwrócić na normalniejszą drogę, chociażby nawet ku większej swojej rozpaczcy czuł ciągłą za prostém istnieniem tęsknotę.

Złudną jest nadzieja powrotu do zdrowia, budząca się w nim, kiedy napotkał kobietę, może równie, jak on, w naturze swój wytworną, ale pod względem prostego pojmowania życia zupełnie odmienną. Zaczyna ją kochać, działa ona na niego uspakajająco i błogo. A że i Anielka go kocha, wyciągnąć więc mu tylko rękę po szczęście i spokój. Tu się odzywa jednak zaraz pierwszy grzech pierworodny Płozowskich: nie znają wartości czasu, bo go nigdy nie rozmierzali na prace. Oddany wiośnie swego serca, Leon nie oświadcza się Anielce. Studjuje siebie samego, cieszy się naiwnym rozkwitem jej duszy, daje jej do zrozumienia, że ją kocha i że o jej rękę poprosi;



ale nie ma owej potrzeby ludzi normalnych zamienienia odrazu pragnień w rzeczywistość i, znając się dobrze, nie radby pustki zatrzasnąć odrazu za sobą. Objawia się przytém całe skomplikowanie, cała podwójność jego natury. Rzekłbyś, że raz sprawia mu pewną rozkosz pokorne wyczekiwanie Anielki, raz znowu powstrzymuje go to i zawstydzają, że potrzebuje wyrzec jedno tylko słowo, aby mu otworzyła ramiona. Więc trwa w wahaniu dalej. Mała to na pozór wina, jak na pozór niejedna wina Płoszowskiego, ale dowodząca istotnej nieudolności życiowej. Życie idzie naprzód, a kto, jak on, ciągle czeka, musi dożyć chwili, w której go zaskoczą przeszkody. Czyż będzie je ów Leon zwyciężał, który z pomyślnych warunków korzystać nie umiał? Zanim się zdołał Anielce oświadczyć, powołała go daleko ciężka choroba ojca. U jego łóża zaczął się znowu nad Anielką zastanawiać, bo z innej perspektywy mógł się jej inaczej przyglądać. Nie odmówił sobie rozkoszy marzenia o niej z daleka. „Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie“.—Czy ję nie kochał? Owszem, po swojemu, całém swoim jestestwem, całą swą rozległą a nie głębszą zdolnością kochania. Przyszła śmierć ojca, znowu inne wrażenia, potrzeba samotności, zagłębienia się w bólu. Takie natury kochają się w rozpacz; nieszczęście jest dla nich mniej dotkliwe od codziennych przykrości, od nerwowych udręczeń, bo z pierwszego mogą układać sobie dramat, a drugie pozostają głuchą, martwą prozą. Przyszło wreszcie ukojenie po bólu, przyszło w postaci innej kobiety, i zaraz, jeszcze wśród uciech, zaczęła powracać gorycz do ust i jął w głowie kołatać wyrzut zdradnego opuszczenia Anielki wraz z myślą o samej Anielce. Wśród podobnych wahań, wśród błogiej ciszy, po zerwaniu z tamtą kobietą, dochodzi go wieść o zamierzonym małżeństwie Anielki ze wstrętnym Płoszowskiemu indywiduum, z Kromickim, i wtedy — jest to jedném z arcydzieł subtelnej psychologii Sienkiewicza — cała niechęć do Kromickiego przenosi się odrazu na Anielkę. Bo dla Płoszowskiego ona nie jest ludzką istotą, ale arcydziełem, nie kobietą, ale postacią, i psuje ją w jego oczach myśl, że ktoś tak niski i wstrętny może wzrok na nią podnosić. Bo Leon nie kocha jeszcze wtedy uczuciem szczerém i głębokiém: zrodzi się ono dopiero z bólu i rozpacz. Z czasem się on dopiero przekonana, że kto nie zdołał wziąć sobie za dewizę słów Wiktora Hugo: „miłość—to czyn“, ten musi poznać, że „miłość—to cierpienie“. W tej chwili swego rozwoju pragnie tylko Płoszowski Anielki, jak źródła wody orzeźwiającej i świeżej, trochę jak wód zwierciadła, w którym swą postać odzworzy. Postanawia wprawdzie jechać po nią, ale po namyśle wysyła tylko list — przez delikatność i lęklivość sumienia—



i list ten, dla różnych drobnych poczuć i odcieni, wypada zupełnie odmiennie, niż początkowo sam piszący pragnął. Myślę, że wstyd mu trochę iść z objąć Laury w ramiona Anielki. „Niewyczerpaném źródłem wahania się i słabości—mówi on raz słusznie—jest miłość własna, próżność i kokieterya względem innych“. U niego bywa ona często wyższego rodzaju: chce się podobać tak wybrednemu sędziemu, jakim jest sam, a chęci téj nie można potępiać. Nie istniałoby właściwie bez niéj poczucie honoru. „Przy całym swym sceptycyzmie—pisze on inną razą — posiadam zdolność odczuwania skrupułów, do prawdy godną płożowskiego wikarego“. Dodajmy, że w umyśle jego zatarła się różnica między wielkimi a drobnymi sprawami, i wszystko, co jego osobiście obchodzi, wydaje mu się równie ważném; bo człowiek ten, który nie jest bynajmniej chłodnym z natury egoistą, nie zna właściwie nic na świecie, prócz siebie. Odwykł od patrzenia na świat, tak zajął się bolesną analizą swéj duszy, z niczém się nie zżył, niczego nie ukochał. Wszystkie sercowe potrzeby skupiły się dopiero dość późno, na pograniczu między młodością a podeszłym wiekiem, w jednej kobiecie. A tymczasem „krytyka wszystkiego i samych siebie wyżarła w nas siły dodatnie, brak nam podstaw, brak punktu wyjścia, brak wiary w życie. Oto, dlaczego ja naprzykład nie tyle chcę posiadać Anielkę, ile boję się ją utracić“.

Stało się, czego się lękał. Anielka obiecała rękę Kromickiemu i żadne prośby i namowy nie zdołały skłonić jéj do cofnięcia przyrzeczeń. Płożowski przeszedł wtedy przez dziesięć miesięcy tak elementarnego bólu, że przestał się nawet analizować i dziennika nie pisał. Odnalazł Anielkę jako kobietę zameżną. Łudził się czas jakiś, że go tym razem stan jego nerwowo od cierpień obroni, że pani Kromicka zabije miłość do Anielki. Niestety, taka jest prostoty siła, że się jéj wdziękowi najbardziej skomplikowany z ludzi oprzec nie może. Zapomina on o złotém widmie swém dawniejszém, ale zaczyna kochać kobietę. I doznaje całej goryczy téj prawdy, że „miłość do cudzej żony, jeżeli jest pozorną, jest podłością; jeżeli jest rzeczywistą, jest jedném z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może“. Dziwne zdania — nie prawdaż? — jak na niemoralną książkę.

Z początku żyje w nim jeszcze dawny zdobywca serc kobiecych, ale nie trwa to długo. Sceptyk wobec cnoty niewieściej błaga, jak żebrak, o odrobinę współczucia i czystéj miłości. Pod wpływem Anielki zrywa się nawet przez chwilę do innego życia, któreby było użyteczniejszém i lepszém. „Większa część moich dawnych poglądów podarła mi się naksztalt starego ubrania“. — „Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe; że wszystko zależało ode-



mnie". Wracają mu wtedy szalone pomysły do głowy, i on, człowiek delikatny i rozumny, stacza się, przynajmniej w myśli, na krawędź hańbiących czynów i zbrodni. Nie ma świadomości waryacyi, ale rozumuje z jednostronną, natężoną jasnością szaleńców. I wszystkie prośby, wszystkie zdrady, wszystkie porywy zamierają wobec tej kobiety, dość silnej, aby się wydawać obojętną. „Z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem poprostu pobity przez tę istotę, prostszą ode mnie, mniej świadomą taktyki życiowej, mniej przezorną i mniej obliczającą każdy krok. Zostałem pobity — niema gadania!“ I nie przyszły Anielce na pomoc żadne szczególne okoliczności. „Zbieram oto całą przytomność i pojmuję, że tych, co mają być zdruzgotani, druzgoce siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb rzeczy. I im to jest bardziej naturalne, tém straszniejsze“. Tu dramatów nie można sobie układać. Bo oto dobił Płoszowskiego fakt, tak w najściślejszym tego słowa znaczeniu naturalny, że kobieta zamężna spodziewa się zostać matką.

Całą sztuczność życia rozbija życiowa prostota, całą sceptyczną i rafinowaną dyskusję z obowiązkami życia rozsypuje w puch proste, naiwne ich pojęcie. Więc kiedy Płoszowskiemu zabrała śmierć Anielkę, jedyny cel widomy jego życia, zostało mu tylko bolesne poczucie nicości, i w nim, i dookoła niego, i pozbawiony w gruncie wiary, poszedł tam, gdzie absolutną nicość spodziewał się zastać.

Zupełne to bankructwo rzuca najlepsze światło na cały stan i całe postępowanie Płoszowskiego. Powiedziałem już, że winy jego wydają się czasem niewielkimi, ale na dnie ich leży wielka próżnia, z win wszystkich największa. I mały stosunkowo grzech musi wtedy ściągać — nieublaganie i tragicznie — w otchłań nieprzejrzanego nieszcześcia. W tém spoczywa wielka moralność utworu.

Czytelnik, który w ten sposób całość powieści pojmuje, musi i pojedyncze jęj sceny uwzględnić. Bo cóż musiało na pierwszym miejscu rozwijać nieudolność i miękkość Płoszowskiego, jeżeli nie obcowanie z takimi kobietami, jak Laura, i tego rodzaju Capua, jak w Peli? A przytém trudno chyba podobne sytuacje piękniej na poezyę transponować i szybciej zapuszczać na nie zasłonę. Odpowiadało to zresztą nietylko usposobieniu autora, ale i naturze bohatera. A musi być przecież w utworze tego rodzaju, co „Bez dogmatu“, nietylko etyczna, ale psychologiczna i estetyczna prawda. Na te ostatnie chciałbym zwrócić po kolei uwagę.



## II.

Ażeby sobie zdać sprawę z natury Płoszowskiego, musimy się przyjrzeć nie tylko dziejom, ale uwzględnić rodzinę, wychowanie, słowem to wszystko, co od jakiegoś czasu nazywamy polskim wyrazem „środowisko“. Jest on synem starego, zamożnego, a podobno i nieco przeżytego rodu. Nie pod względem muskularnej siły albo odwagi, albo nareszcie przelotnej ochoty do czynu,—wyłącznie pod względem uzdolnienia do pracy. Matka umarła przy jego urodzeniu i kobiecą tę nawskroś naturę hodowali zrazu dwaj mężczyźni: włoski ksiądz, który zwracał, zdaje się, jego uwagę raczej na estetyczną, niż na moralną stronę religii, i ojciec, nader ciekawy, a pysznie, choć w krótkich słowach, nakreślony typ zanikającej epoki. Należy on do tej generacji, która szuka prawdy w Berlinie, w metafizyce niemieckiej, i chce na drodze czystego rozumowania dojść do odpowiedzi na wszystkie swe zagadki. Stary Płoszowski jedzie jednak potem do Paryża. Tam poznaje on potęgę, której my właściwie już nie znamy, salon, czyli, jak pisze mądra i wykwiłtna kobieta, zgromadzenie pięknych kobiet i mężczyzn świętych, świetnych i zazwyczaj wpływowych razem. Ma on tam wielkie powodzenie, zową go „Léon l'invincible“. Nie przestaje jednak czuć wyższych w życiu interesów i pragnień. Zaznajamia się z Montalembert'em. Nie zrzekając się różnych poglądów swego wieku, zbliża się pewno do tak zwanego „liberalnego katolicyzmu“. Śmierć żony odwołuje go ostatecznie od metafizyki do wiary. O rodzinnych stronach nie przestaje myśleć za granicą, ale myśli zawsze w swój sposób. Należy do pokolenia, którego świętny i szlachetny przedstawiciel kazał sobie, jako dowód zasługi, wypisać na grobie te słowa: „żył w kraju“. Wierzy w Europę, jako w abstrakcyjne i piękne pojęcie. Osiada w Rzymie i doznaje tych specjalnych, pogodnych, umysłowych roskoszy, których każdy podróżny zakosztował choć trochę w pałacach pod Kapitołem i w willach na Gianicolo leżących. Zebrawszy całe muzeum starożytności, chce je przez miłość dla ziemi rodzinnej gościnnemu Rzymowi zapisać. „Widzisz—mówi do syna—tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo“. Coby dał, za ileby sprzedał tę admirację obcych ludzi z innej, z trzeciej generacji, naprzykład taki dr. Chwastowski, który na tej ziemi, gdzie wyrósł, budzi życie duchowe, nie dba może wiele o muzea, a z pewnością nie o sąd Europy, i latając biedę, gdzie może, wydaje drobne higieniczne pisemka dla ludu?



Takiego-to niepraktycznego ojca ma Płoszowski. Pyszna postać! Widzę go, pięknego, siwego patrycyusza, jak, na kilka dni przed śmiercią, z fotografią Anielki w ręku, prawi podniosłe o piękności i dodaje, że najpiękniejszą na świecie rzeczą jest kobieta. Najpoważniejsze jego myśli, najgłębsze wierzenia mają w sobie jakąś estetyczną przymieszkę. W najszlachetniejszych uczuciach jest coś z duchowego sybarytyzmu szczęśliwszej epoki. Był czas, kiedy wolno było myśleć, że się stosunkami z zagranicą, uniesieniami, podnoszeniem poziomu pewnego moralnego ciepła na świecie, sprawom bliższym służy. W wychowaniu młodego Płoszowskiego znać wyraźnie chęć wyrobienia w nim tych szlachetnych poczuć z jednej, a nadania wytwornej oglądy z drugiej strony. Kiedy się tego okaże potrzeba, będzie wtedy mógł młody Leon zająć odpowiednie swemu rodowi i zdolnościom stanowisko, może jako ambasador, albo minister, chociażby bez teki. On został tymczasem „geniuszem bez teki“, jak się sam wybornie nazywa. Bo o to, czy w każdym razie będzie użytecznym człowiekiem, nie zdawali się pytać jego przewodnicy. Kiedy, oddany do do kolegium do Metz, uciekł chłopiec do Don Carlosa, sprowadzono go wprawdzie do szkoły, ale widział on dobrze, że krok ten, dowodzący ostatecznie dzieciństwa, ale i szlachetności — jeden z rzadkich energicznych czynów jego życia — wzbudził w ojcu i w nauczycielach kolegium tajone zadowolenie. Dumni byli z takiego legitymizmu i z pochopności rycerskiej, a nie trudzili się myślać, w jakim kierunku się zapał ten rozwinie. Cieszyli się przytęm ogromną łatwością chłopca do nauki; pozostał on też zawsze bardzo zdolnym, chociaż do niczego niezdatnym człowiekiem. Mniej świetni od niego koledzy w Metz i na uniwersytecie warszawskim powychodzili na daleko użyteczniejszych ludzi. Szczęście, że go przynajmniej przysłano na czas jakiś do Warszawy i że mógł poznać wtedy społeczeństwo i związać długotrwałe stosunki. Jest to jedyny zdrowy i prosty pomysł w całej jego edukacji.

Po szkołach, gdzie z książek uczą, nastąpiła ówczesnym obyczajem druga szkoła. Była to epoka, kiedy kobiety kończyły jeszcze edukację młodzieńców. Płoszowski spędził te lata swego życia w wielkim świecie paryskim, schodząc od niego do półświatka, w Dumasowskiem i po części w naszym pojęciu wyrazu. Wyszedł z tamtąd zachwiany w swoich egzaltowanych zapatrywaniach na życie, które na to tylko, jak się zdaje, hodowano, aby się mogło stać łupem wszelkich poprzedniczek Laury Davis. Wyszedł więc pełen sceptycyzmu życiowego i niewiary w natury proste a czyste. Zachwiały się i te religijne przekonania, w których atmosferze wyrastał. Nie wiemy pod tym względem nic pewnego, ale nie sądzę, aby Płoszowski prze-



chodził przez wielkie wewnętrzne walki, zanim doszedł do swego religijnego sceptycyzmu, jeżeli można tak nazwać próżniacką jego obojętność. Słyszałem nieraz z ust mądrego człowieka, że o pracę myśli najtrudniej jest w Polsce, i zdaje mi się, że Leon nie miał nigdy dość skupienia, aby rozważyć, czy i w co on téż wierzy? Dlatego zachował pewne pozory i zewnętrzne strony wierzącego człowieka, nie pozbył się nawet poszanowania dla religii, byle mu tylko nie zawadzała w życiu, a raz, w chwili, kiedy się los jego i Anielki rozstrzygał, dał przez jakieś odrodzenie się wspomnień na mszę u P. Maryi w Krakowie, „na intencję Leona i Anielki.“ Nie zerwał otwarcie z religią, przez delikatność serca, ażeby ojca i bliskich nie zasmucać, a i po-za tém idzie krok w krok za nim poczucie lepszego życia i spraw podnioslejszych świadomość. Nie jest w tym stopniu „bez dogmatu,“ co „bez pracy.“ I chociaż twierdzi, że przyrodnicze dzieła stworzyły jego niewiarę, sądzę, że jest i w tém ów optymizm względem siebie samego, który się u najzapamiętaleszych autokrytyków spotyka. Przyszła poprostu chwila, w której niewygodną religię na bok usunął, a stać się to mogło łatwo pod wpływem atmosfery Paryża. „Nie znam żadnego miasta w świecie — pisze on — gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam.“ — „Wiadomości różnorodne a zawsze względne ulatują tam, jak rój niewidzialnych atomów — pisze podobnie Bourget w studyum swém o Renanie — oddychać w Paryżu, to polykać te atomy, to stawać się krytykiem, wychowywać się na *dyletanta*. Zapewne, wielu jest takich, co opierają się tym wpływom, ale ci muszą się przez reakcję podnieść aż do fanatyzmu“ <sup>1)</sup>. Rzecz prosta, że może to być tylko głębszych i bardzo samoistnych natur udziałem. Podobny podróżnikom, którzy, patrząc na coraz inne obyczaje różnych stref i lądów, dochodzą do obojętności dla wszystkich, począł sobie Płoszowski ważyć zarówno wszystkie zapatrywania i pojęcia. Działy na niego tak różnorodne, sprzeczne z sobą wpływy, że schronił się do indyferentyzmu, jak do cichego portu. „Być może — pisze on — iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym. Prąd umysłowy niósł mię — płynąłem.“

A dalej powiada: „Idę mniej więcej razem z ruchem umysłowym mego wieku.“ Zapewne, ale o ile światowiec iść może. Widuje dużo ludzi, pracujących umysłowo, uczonych i artystów, i czasem, kie-

<sup>1)</sup> Essais de psychologie contemporaine. Paris, 1886, str. 74.



dy mu życie bezczynne obmierźnie, zamknie się na dni kilka i zapomina godzin nad jaką nową książką. Są to przelotne szaly. Cytuje on w dzienniku swoim kilka dzieł naukowych, ale to właśnie, że je cytuje, pozwala mi przypuszczać, że stoją one po-za nim, zwłaszcza, że cały dziennik dowodzi, iż jest on w jednym tylko — i to w mniej korzystnym znaczeniu wyrazu — „nowoczesnym człowiekiem.“ Słowa te mają dzisiaj podwójne znaczenie. Nazywamy niemi raz zdenerwowane, nie mające praw do jutra, tonące zupełnie w sceptycyzmie indywidualium, raz znowu istotę, ufną w przyszłość, istotę, której krytycyzm ma naukowe podstawy i której zostało jeszcze bardzo wiele wiary w naukę. Do ostatniej kategorii należy pewno d-r Chwastowski, zaledwo nakreślona sylwetka, do pierwszej — oczywiście Płoszowski. Charakterystyczną cechą jest i jego admiracja dla „Hamleta“, i brak dowodów, aby rozczytywał się w „Fauście.“ Bo pierwszy mógł wprawdzie zaczerpnąć trochę niewiary w Wittenberdze, ale z własnych dramatów życiowych doszedł za młodu do swego wielkiego pytania; drugi posiwał nad retortami, zanim się przekonał, że my niczego wiedzieć nie możemy. Płoszowski ginie też tragicznie, jak Hamlet, nie dostępując zbawienia, obiecanego w „Fauście“ tym, który się „w czynach trudzili.“

Otóż tego trudzenia się nie widzę nigdzie w Płoszowskim. Im więcej się zastanawiam nad nim, tém bardziej wydaje mi się, że kluczem do zagadki tego duchowego stanu i tych losów są słowa, które on nie o sobie samym, ale o całej sferze społecznej i intelektualnej wypowiada: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów namiętności, codziennych wysileń — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które haczy i przewala się, jak morze; a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, *wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich.*“ W tych słowach zawartą jest, mojem zdaniem, główna przewodnia myśl powieści.

Bo tylko brakiem zajęcia mogę sobie analizę Płoszowskiego wytłómaczyć. Nie dziwię się, że człowiek ten, jak ja go pojmuję, zapomniał choć chwilowo i nawpół tylko dla Laury o Anielce, owszem gotów jestem najwięcej podobnych zapór przyjąć; ale nie zdaje mi się równie prawdopodobnym, aby Anielkę „przefilozofował.“ Człowiek, który na trzydzieści pięć lat życia strawił przynajmniej piętnaście na miłostkach, mniej lub więcej poetycznych, i na estetycznych wrażeniach, miewa zazwyczaj bardziej syntetyczną, mniej świadomą siebie naturę. Lęka się nawet pogłębienia uczuć swych i życia, bo lęka



się gorzkiej prawdy. Żadna ze zwykłych przyczyn autokrytycyzmu nie da się do Płoszowskiego zastosować. Nie nauczył go analizy ani skrupuł religijny, ani rachunek sumienia, ani konfesjonał. Nie zaczął on też filozofować o świecie i sobie dlatego, aby wszystko przeniocować i wydrwić, jak to czynią natury nawskroś zepsute, szukające wytłómaczenia dla swego egoizmu; w duszy jego pozostało jeszcze ogromnie wiele szlachetnych uczuć i popędów. Nie wprowadziła go też na te tory metoda naukowa i nauka, wąpiąca dziś o wszystkim, ażeby jutro osiąść prawdę wszystkiego. Nie dziw, że analizują się ciągle bohaterowie Bourget'a, taki Greslou albo Claude Larcher—stało się to już u nich umysłowem nawykniem: pierwszy z nich zajmuje się najzawilszemi psychicznymi zagadnieniami, jako uczony, drugi jako obserwacyjny powieściopisarz. Spotykany nieraz zarzut, iż najnowsze dzieło Sienkiewicza powstało jakby pod wpływem Bourget'a, tłómaczy się właśnie owym nadmiarem analizy i może się na pierwszy rzut oka wydawać prawdziwym. Ale, badając autokrytycyzm Płoszowskiego, znaleźlibyśmy niewątpliwie odmienne w nim cechy, bo przyczyna jego jest inna. Tylko ciągła beczynność, tylko to *ja* niezmiennie, niby oś stała wśród wirującego koła wrażeń, sytuacji i krajów, to *ja*, którego się pozbyć nie może i po-za którym właściwie zajęcia żadnego nie ma, ta jego stałość w wiecznej niestałości, tylko takie czynniki mogły wywołać u Płoszowskiego zwyczaj rozkładania każdego uczucia. Pomimo zwątpień swoich i wewnętrznych niesnasek, pracują i Greslou, i Claude Larcher, jeden u naukowego, drugi u artystycznego warsztatu, kiedy nasz bohater, uznawszy swoją „nieudolność życiową“, pociesza się tém, czemu wygodne miano „słowiańskiej nieproduktywności“ chce nadawać. Szczęściem jest to zupełny niemal frazes i Sienkiewicz wie, co czyni, stawiając na trzecim planie postacie Śniatyńskiego, Łukomskiego i braci Chwastowskich. Zwłaszcza ci ostatni wydają mi się mężami przyszłości. Generacya, oddana wyłącznie estetycznym rokoszom i przez samą swoją kulturę własnej ziemi obca, należy już, ogółem wzięwszy, do przeszłości, i jeżeli nam jutro niebezpieczeństwo jakie grozi, to w małej chyba części z takiej strony. Po ludziach „bez pracy“ nastąpią może ludzie „bez dogmatu“, i w tém, społecznie czysto rzecz biorąc, musi być w naszych warunkach niepokojący objaw. Pokolenia przejmują jednak wiele od siebie, i nie wiem, czy wahadłość nerwowej natury Płoszowskiego i w następach jego się nie odbija.

Wracajmy jednak do samej jego postaci, bo chociaż nie jest ona jutrzejszą, ma wszelkie prawo interesować nas dzisiaj. Bohater Sienkiewicza czuje, mówiąc trywialnie, przez skórę, że nowi ludzie zalewają świat, a on w wiecznem wabaniu rozprawia „na jakichś tara-





sach“, wysoko ponad nimi. Imponują mu ogromnie Śniatyńscy i Łukomscy, bliżsi mu estetycznemi zajęciami z pośród ludzi pracujących; a jeżeli, zestawiając się z nimi, nie dochodzi nigdy do zbawiennej dla siebie pogardy, to dlatego, że w sądach o sobie samych zaliczamy stale do aktywów i dobre nasze zamiary, podczas kiedy osoby po-zami stojące mogą w nich zapisywać tylko dobre uczynki. Stąd wielka różnica bilansów. Nie może on zresztą nie czuć istotnej szlachetności swój natury, a o skażeniu i wysuszeniu serca mówi słusznie, jako o nieszczęściu, które go spotkać byłoby mogło, ale nie spotkało.

„Jest we mnie człowiek — pisze on po odebraniu szlachetnego listu od Klary Hilst—który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu.“ Bo chociaż kochać już wtedy nie umie, żyje w nim jeszcze najgłębiej najmniej samolubne z ludzkich uczuć, współczucie. W parę dni po tém wyznaniu opisuje powrót swój do Płoszowa, do chorój Anielki. Złamany zupełnie, w każdym serca zakątku dotknięty, nie czekający już niczego, prócz bólu, powraca do niej i dla niej jedynie.

„Piękność jój prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawniej Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się témbardziej ukochaną.“ Lepiejby mu jednak było sto razy iść „światami“, niż patrzeć na nią i wiedzieć, czemu się jój twarz odmienia. Ale nie, on udaje przed nią ukojenie, nawet wesołość, ażeby nie być ciągłym dla niej wyrzutem i przypomnieniem boleści. Poświęca to, na co kochającemu zdobyć się najtrudniej: oto niema skargę, wyraz choćby najskromniejszy miłości i cierpienia. I tu pyszny szczegół, zdradzający światowego człowieka, posuwającego aż do form zewnętrznych najdelikatniejszą przezorność. „Włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego.“ A niema już jednak w nim złudzeń lub ufania. Robi się taki cichy, pokorny, uśmiechnięty. Na kartach jego dziennika jest atmosfera tego niezmaconego a trwożnego spokoju, którym otacza się osoby chore a ogromnie drogie. Kiedy odejdzie od Anielki, to na to, aby się naradzać, jakby Kromickiemu byt materialny zapewnić, sprowadzić go do kraju i z Anielką razem na gospodarstwie osiedlić. „Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale, żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę“. Gdybyśmy nawet bardzo wielką część téj szlachetności na karb czyśca złożyli mieli, przez który Płoszowski przechodził, pozostałaby jeszcze niepospolita zdolność do uczuć piękniejszych. Ale u natur bardzo chorych, jak u chyłających się do upadku narodów, wszystko, nawet lepsze popędy, zdają się popychać do zguby. Rzekłbyś, iż w organizmach, do gruntu



strawionych, jedynym objawem istnienia może być choroba. Względna szlachetność Płoszowskiego utrzymuje go na powierzchni życia, ale nie daje mu znów zajrzeć do głębi. Najbardziej dręcząca analiza nie odbiera mu ostatecznych złudzeń co do własnej przyszłości. Bo jeżeli wie, że jest w gruncie dobry, to wie także, że jest bardzo zdolny. Powtarzają mu to do znudzenia przyjaciele i krewni. Jeżeli zaś jest nerwowy i czuły, jak mimoza, to znowu tém lepiej i nie w tém nie masz dziwnego. Ci, co jak Płoszowski, muszą się w rozstroju swoim uciekać aż do chloralu, pogardzają jednak niemal ludźmi, w których nie wszystko drga i dźwięczy. „Chory wiek — pisze Śniatyński, człowiek, który nie jest ani bez pracy, ani bez dogmatu — chory wiek, w którym tylko osły mają jeszcze jakąś wolę, bo gdy ktoś posiada choć trochę rozumu, to go zaraz użyje do zwątpienia o wszystkiem i przekonania siebie samego, że naprawdę nie warto chcieć czegokolwiek.“ A oto, co mówi wprost Płoszowski: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć najłatwiej“. Dlatego przesiaduje za granicą. Rzecz to ciekawa, iż koła, w których jest mu swobodnie i dobrze, mają cechy zupełnie od dawnych wykwintnych towarzystw odmienne. Powstała po arystokracji rodu, talentu i majątku, najnowsza arystokracja nerwów. Różni się ona tém od poprzednich, że wyraz „celowość“ zupełnie już w zakres jęj pojęć nie wchodzi. W Europie całej, którą przebywa wszędy i wzdłuż, Płoszowski spotyka ludzi, których jedynym zadaniem życia jest uosabiać rafinowanie cywilizacji i porozumiewać się między sobą językiem wtajemniczonych. Że Leon Płoszowski z Płoszowa ma inne obowiązki, o tém nie zawsze pamięta nasz bohater, a przytém czuje on może znowu tę fatalną wyższość swoją nad innymi. Fortuna, która mu z jednej strony daje pewność, że nie okryje się on nigdy wstydem i niesławą, służy mu do zaspokojenia wyższych, estetycznych i intelektualnych potrzeb. Jest on napół tylko, ale szczerze artystą. Jeżeli posiada zbyt wiele krytycyzmu, aby mózdz tworzyć, to ma znów nadto wyobraźni, aby na biernym stanowisku widza czy słuchacza pozostać. Wyobraźnia jego spełnia w życiu to, co u rzeczywistych artystów czyni w świecie sztuki: obmyśla akcesorya, dobiera tło, wynajduje efekta, tworzy jednem słowem wokoło niego dramat. Oto np. co pisze Płoszowski z powodu choroby ojca: „Bóg widzi, że, znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie; a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec i siebie klęczącego przy jego trumnie, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żal było tego naprózno żalu.“ Wolałbym, co prawda, aby takich ustępów,



a nie wszystkie musiałyby być tak okrutne, było w powieści więcej, a zwłaszcza, aby nam dano więcej dowodów estetycznych upodobań Płoszowskiego. Dziwny jego gust dla Carlo Dolce — wprawdzie przez dziecinne lata usprawiedliwiony — i łatwowierność, z którą złotnicze wyroby u Laury Davis uważa za dzieła Benvenuta, rażą mię nawet trochę. Przykro mi, kiedy słowa poety przypominają frazesy literatów i kiedy się na kartach Sienkiewiczowskiej powieści stary Dumas odzywa. Sądzę, że brak czysto estetycznych wrażeń tłómaczy się owymi ustępstwami dla szerokiej publiczności, o których wyżej wspominałem, i na karb tychże koncesyi położę pewien nacisk na światowość Płoszowskiego. Zaręczą on o tém trochę częściej, niżby to czynił w dzienniku istotny reprezentant sfer najwykwintniejszych. Czytelnicy, którzy do nich się liczą, zarzucają nawet pewną niedbałość w oddawaniu tonu wielkiego świata i wytykają szereg mikroskopijnych wykroczeń. Nie mogąc wdawać się w kwestye tak subtelne, zaznaczę tylko, że chodziło tu przedewszystkiēm o indywidualum, nie o sferę, że taki wiecznie myślący Płoszowski, któryby w każdej warstwie był niezwykłym zjawiskiem, może się zupełną obojętnością dla języka i form swego świata odznaczać. Zapytam nawet, gdzie większą jest arystokratyczna swoboda: czy w dzienniku takiego szlachcica, jak Płoszowski, czy też w powieściach Bourget'a, zwłaszcza pierwszych, gdzie w niektórych rozdziałach, arcyeleganckich, czuję jakoś nowicyusza w salonie, żeby nie powiedzieć — dekoratora? Wszakże dziś sam Bourget śmieje się w najnowszej książce ze swoich opisów salonu.

Rafinowanie, szlachetność i wysoka kultura charakteryzują w każdym razie, i to w niezwykle sposób, bohatera tej powieści, na której poszczególne stronicie, w braku głębszej krytyki, położyłem obecnie akcenta. I sądzę, że wszystkie te zalety, z których przy olbrzymiej swój świadomości nie może Płoszowski nie zdać sobie sprawy, pozwalają mu ufać, że kiedyś jeszcze odpowie wymaganiom i nadziejom, które taki Śniatyński w nim pokłada. Trudno mu tylko zacząć coś robić wśród wiru wrażeń, którym, wprawdzie na chwilę, ale całą jednak swą duszę oddaje. Tak schodzą mu dni w oczekiwaniu jutra. I tak minęło lat trzydzieści pięć. Płoszowski doszedł do tej „połowy drogi ludzkiego życia,“ o której mówi Dante. Nastąpiła ostatnia chwila, w której jeszcze może coś uczynić, a potem trzeba mu schodzić drogą, wiodącą już do zmroku, schodzić z podwójnym brzemieniem: umęczenia i żalu.

Wtedy zachodzi mu drogę Anielka.

Płoszowski nie lubi Polek i rys to bardzo trafny, uzupełniający wybornie charakter. Nie lubi ich, jako człowiek, szukający po świecie



miłostek, bo kobiety u nas mają usposobienie chłodne, co najwyżej do kokieteryi skłonne. Nadto wynika to niejako z definicyi takiego Płoszowskiego, że nie bardzo je ceni. Dla rafinowanej jego natury kontrast jest może zbyt mały; Polki mają, zupełnie jak on sam, więcej nerwów, wyobraźni, więcej zalet intelektualnych, niż wielkiego elementarnego uczucia. Społeczna ich rola nie wchodzi tu w grę, Płoszowski uważa je tylko odnośnie do mężczyzny. I pod tym względem ma on może rację, a Anielka, którą mimo jej narodowości tak gorąco i zupełnie pokochał, nie zupełnie zadaje kłam jego zarzutom. Kiedy kochająca go Anielka oddaje rękę Kromickiemu, ma Leon prawo powiedzieć z goryczą: „Ten gatunek Polek woli złamać serce, niż słowo.“

Anielka jest to córka szlacheckiego domu, wyborny typ istoty, którą w potocznej rozmowie określamy wyrazami „wiejska panna.“ Szkołą jej był dom, otoczenie, pełne tradycyi obywatelskich, uczciwych i szlachetnych. Wytworność swęj natury zawdzięcza raczej atmosferze, niż indywidualnemu wyrobieniu. Sądzę, że jeżeli bierze książkę do ręki, to częściej, aby z niej uczyć dzieci czytać, niż dla własnej umysłowej potrzeby. Istota bardzo czysta, naiwna i niewinna, wychowana na to, aby nic nie znać życia, w którym się swoją drogą, dzięki wielkiemu sprytowi, zorientuje bardzo łatwo. Miłość nie jest ani marzeniem, ani celem jej życia. Kiedy ją za dorosłą uznają i pozwalają kochać Leona, kocha go serdecznie i pięknie, prawie tyle z podziwu, co z serca. Ale bardzo śpiesznie oddaje rękę wstrętnemu człowiekowi, skoro się tylko zdawać może, że ją Leon porzucił, a przynajmniej zaniedbał, i skoro sobie pozwolił na nieszczęsny okrzyk: „życzę panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim.“ Gra pewną rolę w przedwczesném tém postanowieniu uległość choręj i staręj matce, któraby los córki i rodzinnego majątku chciała widzieć zabezpieczonym, ale odzywa się tu i dotknięta godność osobista, miłość własna kobiety. Dlaczego nie ma odwagi choć potem zerwać z Kromickim? Polska ta panna nie zdaje sobie snadź z tego sprawy, że kiedy się jednego kocha, iść za mąż za drugiego, dla ochronienia swojej niewieściej dumy, nie jest ani szlachetnie, ani nawet zupełnie uczciwie. A jednak pytam, czy większość panien z téj samęj sfery społecznej postąpiłaby inaczej? Wiem natomiast, że nie uczyniłaby tego Klara Hilst, córka jakiegoś fabrykanta z Frankfurtu. Pojmuje ona tak dobrze, co jest miłość, że nie chce słuchać oświadczeń człowieka, którego jednak całym sercem kocha, kocha i czynnie, i cicho zarazem. Lęka się, że słowa jego pochodzą tylko z chwilowego rozczulenia i wdzięczności. Tak mądrą jest jej uczciwość, że nie chce z chwili uniesienia korzystać. Bo by-



łaby może kiedyś kulą u nóg człowieka, którego szczęście ponad własne ceni, i to wystarcza, aby się zrzekła pragnień i marzenia. „Czy pan rozumie—pisze ona pod koniec ślicznego swego listu— że można kochać nietylko z całej duszy, ale i z pokorą? Ja wiem, że można, bo tak kocham“.

Odkąd została panią Kromicką, zmieniła się i sytuacja, i obowiązki Anielki. Wywiązuje się ona z nich z ogromnym taktym. Nie wysuwa tego jednak na pierwszy plan, że nie jest już dawną, wolną Anielką, nie zaczyna od rozmowy o mężu, wogóle nie mówi o nim prawie wcale przy Leonie. Czuje się ona naprzód trochę winną wobec niego, a zwłaszcza lituje się nad nim głęboko. Staje się więc względną, łagodną i słodką, przebacza mu winy. Czego dla szczęścia dwojga ludzi zrobić nie umiała, czyni to teraz— z litości. Istna córka kraju, gdzie się chwilowem miłosierdziem długi wobec życia opłaca. Bez wielkiej subtelności umysłu i bez delikatności serca nie podobałaby jednak swęj roli. Musi ona oszczędzać Leona, a na żadną nadzieję mu nigdy nie przyzwolić; musi kryć się z miłością przed nim, a przed matką i otoczeniem z walką i oporem. Uwikłał ją Leon tak mądrze w swe sieci, że niepodobna jęj głośno i wyraźnie oddalić go od siebie i przeciąć węzłów żelazem. Dokonywa ona trudnego zadania, dzięki temu zwłaszcza, że, jak sobie z tego i Płoszowski zdaje sprawę, kocha go ona nie tak silnie, jak on ją. Broni ją zaś ciągle owa natura gronostaja, lękającego się zbrudzić białe futerko.

Bo jeżeli z wyżyn swych nie zstępuje, to nie dla religijnych uczuć, w najabsolutniejszej ich formie. O ile mi ją dziennik Płoszowskiego odwzorowuje, nie widzę u nięj dowodów ciągłej pobożności, ani nieustannego religijnego życia. Nie kocha męża, nie ma dzieci, w którychby miłość swoją całą mieścić mogła. Wszystko zaś, co jest w nięj wytworniejsze i podniosłejsze, ciągnie ją ku mężczyźnie, którego właściwie nie przestała kochać i któremu wierzy. Nie opiera mu się tęż w starém doświadczeniu, że krótkie chwile jednostronnego szału opłaca się bólem z tysiąca stron, odnawiającym się ciągle. Zdawałoby się, że w takich warunkach upadek jęj nastąpić szybko musi.

Tymczasem tak nie jest. Walki świadomej niema wcale w Anielce. Myśl oddania się Płoszowskiemu nie powstała w nięj, nie przeszła przez jęj głowę nawet w formie przelotnego widzenia. Broni jęj siła inna: czysto obyczajowa i ogólna. Tradycja, otoczenie, wiejska ta atmosfera, nie bardzo może w myśli, ale w proste poczucie obfita, wyrobiła w nięj poczucie, że istnieją dwie niepojednane ze sobą siły: złe i dobre, dwa pierwiastki, któreby Płoszowski tylko za



dwa różnorodne objawy uznawał, a między którymi dla niej istnieje niezapełniona niczém przepaść. Ginęły w niej po kolei, jak w bezdennej urnie Danaid, wszystkie Płoszowskiego rozumowania, podstępny i zapalny. Pytać, gdzie dobre a gdzie złe, nie potrzebuje Anielka. Pojęcie świata i pojęcie moralności są u niej równie nieskomplikowane, proste. Natura jej i postępowanie dowodzą najlepiej, jaką potęgą może się stać dla społeczeństw „dogmat“ i ile im na wyrobieniu odpowiedniej atmosfery niewzruszonych przekonań zależy. Indywidua, któreby jej same stworzyć nie zdołały, żyć bez niej nie mogą i, kochając się w jej czystości, chcą ją wiecznie mieć wokoło siebie. Silniej, niż negatywny dowód w naturze Płoszowskiego, przemawia do mnie nauka, płynąca z poznania mniej inteligentnej i mniej świadomej Anielki. Zarzutu bierności pojąć wprost nie mogę. W bezwiedności swojej, w swojej „czystości piór“ i łabędziej białości, w cności swojej, bez wielkich walk i bez wielkich może zasług, jest Anielka wybornym typem tego rodzaju kobiety, którego Płoszowski z góry znosić nie może i który go, właśnie dlatego, w szlachetnym i pięknym wcieleniu tak ęci.

Nie jest nieprawdopodobnym, że, jak w przyszłości coraz mniej będzie Płoszowskich, tak też i typ Anielki ginąć u nas pocznie. Być może, iż bezświadomość ustąpi przed świadomością, a pomimo chwilowego ścięśnienia kadr arystokratycznych, będzie się społeczeństwo stale demokratyzowało. Czcze już dziś formy salonu znikną wobec rozwoju drobniejszych kół towarzyskich i rodzinnego życia, z czém lepiej będzie Śniatyńskim, Chwastowskim i innym pracującym ludziom. Wtedy postacie, jak Anielka, staną się rzadkim objawem. Nastąpi po niej kobieta mądra, wyżej ceniąca miłość indywidualną, bo na niej oprze się jej życie,—bardziej dla trybu codziennego stworzona. Kobieta w rodzaju pani Śniatyńskiej, a może raczej zbliżona do Klary Hilst, równie czystej i równie godnej, jak Anielka. I poezya straci na tém tylko chwilowo, bo taki to kwiat cudny i żywotny, że może chyba wszędzie wyrosć, a tylko—stosownie do otoczenia—różnorodnie zakwita.

### III.

Prostemu charakterowi Anielki mogła każda powieściowa forma odpowiedzieć; Płoszowskiego trzeba było natomiast w specjalny sposób oświetlić. Nasuwała się wobec tego forma dziennika; Sienkiewicz wybrał ją.



Dwa razy w ciągu ostatnich stu lat rozwielił się dziennik w literaturze, bo dwa razy zapanował w życiu. Powstaje on, ile razy poczynają się ludzie tém interesować, co się w skrytości duszy ich odbywa. Pod koniec przeszłego i na początku bieżącego wieku zajmowano się więcej uczuciami; obecnie oddajemy się raczej badaniu intelektualnych objawów i newrozy. W obydwóch razach wzmagają się stan chorobliwy, dzięki nateżeniu świadomości, i sam materialny akt pisania odrywa ludzi od zajęć i odwraca myśl od spraw, w których znaleźliby łąco zapomnienie, a może i lekarstwo. Ktokolwiek trawił wieczory nad kartkami swego pamiętnika, przyzna mi, że zwyczaj spisywania wrażeń zawdzięcza istnienie bezczynności, ale że naodwrot i próżniactwo z tego rodzaju piśmiennictwa rośnie. U Płoszowskiego jest więc dziennik bardzo prawdopodobnym objawem.

Artystycznie przedstawiał on pewne, nieuniknione niebezpieczeństwa. Przedewszystkiēm ogranicza on pole widzenia; ścieśniają się ramy, w których obrębie roztacza nam autor obraz społeczeństwa. Nie zapoznajemy się bezpośrednio z osobami i faktami, widzimy je dopiero odbite w duszy Płoszowskiego, przeniesione na jej tło, pojęte w jego sposób. Z wyjątkiem Anielki, której Leon całą swą uwagę poświęcił, nie wypadały też wszystkie postacie drugorzędne tak wypukło i żywo, jak to dotychczas u Sienkiewicza bywało. Epizodycznie bowiem występują kolejno Śniatyńscy i Chwastowscy, aby całą obywatelską nicość Leona silniej uwydatnić. Czasami jednak posiadają te drugo i trzeciorzędne postacie swą niezwykłą, kilku rysami nadaną, żywotność i prawdę, któremi zwykł wielki nowellista ludzi swoich obdarzać: wspomnę tylko rzeźbiarza Łukomskiego, lub handlarza broni. Jeżeli w typowość Kromickiego nie wszyscy możemy uwierzyć, to widzimy wszyscy twarz jego szpetną, gest i monokl w oku. I nie pytamy, dlaczego dba tak ciotka Leona o wyścigowe konie, bo oto widzimy ją, kiedy głośno z sobą rozmawia, i poznajemy opryskliwość osób poczciwych i w gruncie kochanych.

I nie spuszczaemy tego z oka, że jedynie dzięki formie dziennika możemy wnikać tak głęboko w duszę Płoszowskiego i mieć ciągle dowody wiekuistej jego analizy. Cały mechanizm duchowy bohatera odsłania się w ten sposób przed nami, a nadto objawia się nieustanna u niego świadomość. Ostatni ten rys, uzupełniający tak dobrze naturę, byłby się był wobec innego sposobu przedstawienia chwilami tylko przypominał. Należała się przytēm nowożytnęj powieści forma, tak nawskroś uowoczesna. Wszakże w pogoni za najindywidualniejszymi poczuciami i najspecałniejszymi stanami duszy, wydobywamy dziś na światło dzienne czysto osobiste pamiętniki i za-



piski. Powieść zamienia się coraz bardziej na szereg zanotowanych spiesznie psychologicznych momentów. Niepospolity człowiek, który ani na katedrze, ani w naukowych dziełach, ani w poezjach nie wywierał silniejszego wrażenia i nie zdołał sobie za życia pozyskać nazwiska, został odrazu w całej Europie sławnym, skoro wydano ustępy z jego dziennika, spiswanego sumiennie, pełnego zacieklej i bolesnej analizy. W parę lat po śmierci zajął Amiel wybitne stanowisko wśród przedstawicieli współczesnej psychologii, czyli, mówiąc praktycznie, pośród przewodców przyszłych generacji. I podobnych przykładów możnaby wyliczyć dziesiątki. Nie ma więc dziś nikt prawa robić z formy dziennika zarzutu, bo jeżeli bezładny rzeczywisty pamiętnik budzi tyle zajęcia, to powinna i artystycznie zbudowana powieść, w kształt jego obleczone, zaciekawiać ogół. Przeczuję tu zarzut: oto istotny dziennik jest niewątpliwym „życiowym dokumentem“. Zdaje mi się, iż mogę się, miast odpowiedzi, do publiczności odwołać i zapytać: czy mniejszą praktyczną wartość mają niektóre, tak trafne, tak na gorącym uczynku schwyte, rysy w „Bez dogmatu“? Twierdzą to w przekonaniu, że trzeba tylko dobrze wsłuchać się w dzieło, a rozpozna się w niem szczerze i prawdziwe tony. Bo któżby się z nas dzisiaj zajmował jeszcze krytyką, gdyby nie wiara, że powstaje zawsze jakieś duchowe pokrewieństwo, tajemne jakieś porozumienie się i niemal współnictwo, między pisarzem a czytelnikiem, bardzo pilnym i zupełnie nieuprzedzonym? Podniosłem już poprzednio kilka ustępów, dowodzących niezwykłej subtelności obserwacji, a mógłbym jeszcze przytoczyć ich bardzo wiele, że wspomnę tylko owo rozdrażnienie, w które wprawia Leona raz monokl Kromickiego, raz szelest gumowego płaszcza. Niepodobna mi tu natomiast przytaczać długich stronic na dowód, jak całe głębokie stany duszy są pochwycone i odmalowane. Zadowolnię się więc tą krótką uwagą, że ci, którzy czytali „Bez dogmatu“ w odcinkach, nie mogą sobie zdać sprawy z artystycznej wartości utworu. Gdzie mi najmisterniejszymi rysami kreślą wyjątkowe stany duchowe i chcą drobnymi środkami silny nastrój wywołać, tam nie mogę na całą dobę przerywać sobie wrażeń. Przybywam wtedy znieczulony dniem całym, wyrwany z atmosfery wczorajszego odcinka i, zupełnie nie przygotowany, poddaję się wpływowi autora. „Jakiego ja pragnę czytelnika?—pytał Goethe.—Takiego, co siebie, mnie i świat cały puszcza w niepamięć i w książce mojej żyje“. Do ideału tego zbliżyć się mogą tylko ci, co zagłębili się w owych trzech tomach, tak pięknie drukowanych; gdyby nie staranność wydawców, byłby się tekst w dwóch tomikach pomieścił.—I wtedy dopiero okazuje się, że mistrzostwo języka nie zawiodło Sienkiewicza. Spotykałem się wprawdzie ze zdaniem, że



konwersacyjnego tenu najwyższych sfer towarzyskich nie oddał, ale gdyby to nawet miało być prawdą, to trudno winić autora, który czystą pisze polszczyzną, kiedy Płoszowscy mówią zazwyczaj po francusku, albo makaronicznym językiem. Pozostała w każdym razie Sienkiewiczowi niemała zasługa. Oto wyraził on szereg myśli najsubtelniejszych w klasycznej mowie i formie, w polszczyźnie tak czystej, że się aż kryształową stała. Wprowadził do literatury mnóstwo wyrażeń, nie mających przedtém obywatelstwa w języku książkowym, i stworzył szereg zwrotów i wyrazów, które weszły do ogólnego skarbcza i z których ja już pewno nie pierwszy na tém miejscu korzystam. Publiczności potrzeba myśli jasnych w jasnej formie; dla tego przechodzi tyle zdań z „Bez dogmatu“ na własność powszechną. Sądy Płoszowskiego wprawiają mię nieraz w zachwyt głębokością, dziwią mnie nawet często jakąś jędrnością i wesołym zacięciem. Na przykład, kiedy, porównując Laurę do konstelacyi, nazywa ją *Wielką niedźwiedzicą* dla otoczenia, a *Krzyżem* dla męża. I czuję pewien szlachecki, zdrowy humor w ustępie o polskiej zimie, w której jest jakaś siła i powaga, a przede wszystkim szczerość. „Równie jak szczerzy przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta“. Wydaje mi się to bardzo jędrne i proste na Leona, zwłaszcza kiedy porównam styl rzeczywistych pamiętników i napotkam u Amiela takie np. zdanie: „Będąc tylko marzycielką medytacją, goni dziennik wszystkimi przydrózkami, a do celu nie zmierza. Rozmowa mego ja z sobą samym może być tylko stopniowém rozświecaniem się myśli. Stąd ciągle powtórzenia, zawracanie się w drodze, poprawki i wahania. Kto twierdzi, bywa zwyciężym, kto szuka — rozwlekłym; kto marzy, chadza linią krzywą“. A przedtém tak mówi Amiel do siebie: „Widzisz zbyt dużo sposobów wypowiedzenia myśli; umysł bardzo zgodny z sobą natrafia odrazu na ton właściwy... Aby do niego dojść, potrzeba nie wątpić, a ty wątpisz nieustannie“. Kiedy nadto napotkam ustępy takiej poetycznej siły, jak dysertacya, a raczej hymn o miłości, lub opis wrażeń, doznanych podczas gry sonaty Bethowenowej, rodzą mi się czasem w duszy pewne wątpliwości. Gdyby Płoszowski umiał wyrażać swe myśli tak jasno i dobitnie, a uczucia tak żywo, dystylowałyby może aż do końca życie swoje na literaturę i znalazłby w tém ukojenie. Wszak przyznaje on sam, że sztuka „zdolna jest wypełnić życie człowieka zupełnie i zostać jego religią, może wszelako pod warunkiem, by on został jej kapłanem“ A są stronicę całe „Bez dogmatu“, które pisał wielki artysta, nie Płoszowski, ale Henryk Sienkiewicz.



Niektórzy czytelnicy powieści nauczyli się do tego stopnia szukać w pierwszych odcinkach owych wspomnianych ogólnych rysów i obserwacji, że spotykał ich potem pewien zawód, kiedy z rozwojem akcji nastąpiły uwagi indywidualniejsze i bardziej specyalne. Początek pierwszego tomu, poświęcony biografii i charakterystyce Płoszowskiego, pisanéj przez niego samego, obfituje szczególnie w tego rodzaju spostrzeżenia; w drugiej części następuje już akcja i odegrywa się w Leonie cała tragedia, zakończona utratą Anielki. Drugi tom zawiera zaś dziennik miesięcy, spędzonych razem z panią Kromicką w Płoszowie i Warszawie. Wszystko się tam dzieje podczas nieobecności Kromickiego i pod okiem dwóch kobiet, o wyobraźni tak czystéj, że na myśl im nie przyjdzie możliwość jakiegoś romansu. Staje tu więc sama Anielka wobec Leona i rozpoczyna się ich walka cicha, prowadzona niemal półsłówkami, ukrywana przed otoczeniem. Wobec nieuniknionych analogii w sytuacjach, charakteryzują ten tom ciągle epizody, jak cała nowella o Łatyszach, opis burzy, wyścigów, obraz niedzielnego poranku, tak powietrzny i pogodny, a tak na wzrok obliczony, jak jakie malowanie Chelmońskiego.—Pomiędzy temi dodatkowemi scenami rozwija się nieustannie analiza i boleść Płoszowskiego, które trzeba było, nie tylko wśród niezwykle ciężkich warunków, ale i wśród dni stosunkowo szczęśliwych, pokazać. Tu się nareszcie poznajemy na dobre z Anielką. Postać jéj odporna i bierna nadaje ton całemu tomowi. Wszak dramatyczność polega na ciągłej niepewności, na którą się stronę szala ostatecznie przechyli. A tutaj w walce dwóch dusz, na którą zewnętrzne wypadki nie wywierają niemal wpływu, zwycięstwo Anielki przeczuwamy z góry. Bije morze o niewzruszoną skałę, ale wiemy, że oczy nasze tego nie zobaczą, iżby się kamień stoczyć miał do fali.

Dopiero trzeci tom sprowadza więcej postaci i nawał wypadków. Sprowadza Kromickiego, a z nim cały szereg zawikłań i szalonych u Leona pomysłów, zamiarów niegodnej frymarki i zbrodni. Sprowadza rozpaczliwsze walki z Anielką i coraz większe bole. Komplikuje się to wszystko całą majątkową sprawą Kromickiego, jego śmiercią, stanem Anielki, ucieczką Leona, jego chorobą i złamaniem. Po największej boleści następuje względne ucieszenie i ukojenie. Dni ciche i niesamolubne; roztopienie się w kochaniu, które jest już prawie braterską miłością. Tak przeprowadziwszy swego bohatera przez wszystkie nerwowe udręczenia, tuż obok szaleństwa i zbrodni, ukazuje go nam Sienkiewicz w końcu niemal skruszonym i godnym przedewszystkiém litości. Po boleściach, których widok rozstraja i trwoży, następują cierpienia serdeczne, które wzruszać muszą. Ómi się chwilami w oczach przy czytaniu ostatniej



części, tomu i nic mi nie daje wyższego pojęcia o wielkiej sztuce Sienkiewicza, jak owo wprowadzenie uczucia litości po mękach i po grozie. Występuje tu owa tragiczność, o której od Arystotelesa rozprawiają estetycy. I pod wpływem rozrzewnienia, nie spostrzegamy, ani jak nagły jest koniec powieści, ani jak drobną zostawia Anielka Płoszowskiemu spuściznę: jedno słowo „kochałam“.

Takie nagłe wydobywanie na wierzch szlachetniejszych uczuć, wśród okropności i mąk, charakteryzuje może wogóle twórczość Sienkiewicza. W „Ogniem i mieczem“ bodaj czy nie najpiękniejszą jest ta drobna scena, gdzie pazik, wbrew zakazom, strzela do człowieka, wijącego się na palu. I wódz mu w milczeniu takie litośne nieposłuszeństwo przebacza. Trzeba było—dla czysto artystycznych powodów—uwolnić tego człowieka od męki. I w „Bez dogmatu“ trzeba było, kiedy boleść do szaleństwa doszła, rozpostrzeć jakąś wielką łagodność i litość. Wśród uczuć tych ginie okropność samobójstwa Płoszowskiego. Tak giną wszyscy, przez wielkich dramaturgów stworzeni, samobójcy tragedyi.

Płoszowski mówi na wstępie o pisarzach, którym myśl zstępuje prosto przez ramię na papier. Otóż nigdy nie zdaje się ona sływać u Sienkiewicza tak łatwo, jak kiedy ma przedstawiać owe czyste i piękne pragnienia, które w codziennym języku *poetycznemi* zwiemy. Rzekłbyś, że najłatwiej było mu te ustępy z powieści napisać, w których Leon, opuściwszy Laureę, wyraża swoją tęsknotę za życiem spokojnym i lepszym, gdzie czuje potrzebę prawości uczuć, gdzie mu jest cicho, i smutno, i dobrze. Albo te stronicy, pełne zwyciężenia samego siebie, po powrocie do Płoszowa, do biednej Anielki. Jest w tym fakcie coś bardzo charakterystycznego dla naszej literatury i sztuki, coś nauczającego zarazem. Potrzeba żywotności, obserwacyi, nieubłaganej prawdy, budzi się u nas coraz więcej wśród ludzi, i tworzących, i odczuwających. A jednak u wszystkich artystów, którzy nad wyobraźnią obecnego pokolenia panują, okazuje się nieustanna tęsknota do jakiegoś bezwzględного dobra i niezmaconej piękności, do jakiegoś zacisza, pełnego idealnych potrzeb i uczuć. Kiedy są podniośli, bywają najszczerzy; po tém poznają dążność ich i kierunek. Nie chcę doprawdy kuć jakiegóś doktryny, ale fakt stwierdzić mam obowiązek i prawo. Widzę, że uszlachetniają wszyscy ludzką nędzę, ludzką miłość i nienawiść. Czynią to na polu poezyi, jak Słowacki, który się teraz dopiero czytelników doczekał; na polu malarstwa, jak Grottger, Chełmoński lub Malczewski; na scenie, jak Modrzejewska. Są to duchy różnej siły lotu, ale skoro ujrzą kawał błękitu, widoczny naraz wśród mgławic, wszystkie otwierają łabędzie skrzydła do lotu.



Całe to, zbyt długie, studyum, miało czytelnikowi przypomnieć, ile głębokiej obserwacji zawiera najnowsza powieść Sienkiewicza, a stwierdzić zarazem, jaka poezya opanowywała od czasu do czasu autora i przedostawała się przez nawał drobiazgów na światło. Dał on nam więc z jednej strony całą tę życiową prawdę, za którą tęsknić musimy i mamy prawo, a z drugiej to, za czém się zachodnie narody oglądają ze smutkiem, jako za dobrem niepowrotném, którego już tam nikt, gdzie zamarło, światu nie powróci.

DR K. M. GÓRSKI.



F. 7114







F  
7114